

Łzy Feniksa

Spokój. Spokój przede wszystkim. Musisz pokazać, że to ty jesteś górą.

Para żółtych oczu wpatruje się we mnie dziko z krzaków. Dwa światełka migocą w ciemności.

Nie mrugam. To mogłoby być odebrane za prowokację.

Jedna z zaopatrzonych w ostre pazury łap dumnie wylania się zza krzaków. Ogromny zwierz zbliża się.

Fala powietrza uderza o moją twarz rozwiewając kasztanowe włosy. Mimo tego, iż są związane, czuję jak wiatr je płącze. Stoję nieruchomo widząc kroczącą majestatycznie w moją stronę bestię. Pomału zaczynam ogarniać wzrokiem jej posturę. Głowę mam lekko uniesioną, by dalej móc wpatrywać się w nienaturalne tęczęwki przeciwnika umieszczone na wysokości dwóch metrów. Na jej jasnej sierści nie ma śladu błota. Zero oznak długiego biegu między trawami, drzewami, krzewami. Falujące warstwy futra lśnią niczym diament, odbijając promienie słońca. Z głowy zwierzęcia na dziesięć centymetrów ponad sierść wystaje para czarnych, zakrzywionych rogów, co tylko dodaje uroku temu ogromnemu zabójcy.

Biały tygrys obnaża śnieżnobiałe kły, gotując się do ataku.

W lesie panuje cisza, a przynajmniej tak mi się wydaje. Do moich uszu dochodzi tylko odgłos mojego ciężkiego oddechu, czuję lekko przyśpieszone bicie własnego serca. Wiem, że tuż za mną, na moich plecach spoczywa łuk wykonany z gałęzi Pierwszego Drzewa. Nigdy nie chybiam. Jednak teraz, czas mojej reakcji jest niczym w porównaniu z szybkością zwierzęcia, poza tym nigdy nie odważyłabym się go skrzywdzić.

Tygrys powarkuje, poprzedzając skok. Tuż potem ciężkie łapy powalają mnie na ziemię, jednak nie przygniatają ramion. Na twarzy czuję gorący język, a ślina bestii zaczyna spływać mi po policzku. Zamykam oczy i próbuję zakryć się rękami.

- Lolerey! Przestań! - krzyczę, ostatecznie zwierzę jeszcze bardziej mi dokucza. - Złaż ze mnie, albo nie dostaniesz ani kawałka pieczonego dzika! No już! Liczę do trzech! - straszę, jednak, gdy tylko z moich ust pada informacja dotycząca jej przysmaku, tygrysica cofa się.

Siadam krzyżując nogi, a duży łeb znowu mnie trąca. Tym razem zupełnie delikatnie, z przymrużonymi oczami, okazując swoje uczucie.

- Też cię kocham, malutka. - szepczę. Obejmując jej wielką szyję nigdy nie udaje mi się zamknąć uścisku. - Chyba pora już wracać. Nie sądzisz? - Wie, że mam rację, mimo to wtula się jeszcze bardziej. - Eaklis kazała mi po ciebie przyjść. Nie każmy jej zbyt długo czekać.

Odrywam się na chwilę od aksamitnej sierści tylko po to, by ponownie się w niej zanurzyć siadając na jej grzbiecie. Wie, dokąd iść, dlatego kładę się na jej plecach, by usłyszeć szybkie bicie dużego serca. Wtedy, zdawać by się mogło, że jest częścią mnie. Dość dużą częścią mnie. Uwielbiam jej bliskość.

Ogromny zwierz pędzi przez spowity ciemnością las, a wszystko, co stanie mu na drodze natychmiast się odsuwa, bo wie, że nikt nie ma z nim szans.

.....
Już z oddali słychać gwar dochodzący z tawerny. Kłęby białego dymu odznaczają się na granatowym niebie. Nie ma śladu gwiazd. Gdyby nie lampy, świat pewnie spowiłaby zupełna ciemność. Nadal czuję zapach lasu, jednak na skraju miesza się z wonią pieczonej dziczyzny, palonych lamp, koni.

Lolerey zwalnia, a ja mogę się wreszcie rozejrzeć. Ulice są puste. Tylko gdzieś spotkać można ludzi biegnących w pośpiechu na kolację. Każdy posyła zaintrygowane spojrzenie na tygrysa, w sercu czując trwogę na jego widok. Nie

dziwię się. Choć zapewne spora część ludzi z Leniterii posiada niezwyklego pupila, ten rejon znany jest z małych stworzeń, zwykle przyjaźnie nastawionych. Próbując przywrócić sobie w myślach mapę Pięciu Wież błędzę w kierunku rzeki Plady, dzielącą Świat na wschód oraz zachód i przypominam wysokie trawy Valatili, w których niegdyś znalazłam małą kulkę białego futra w czarne pręgi, porzuconą przez matkę. Zdziwienie było niemałe, gdy w Ojczyźnie Ognistych Ptaków odnaleziony został pierwszy od wielu wieków biały tygrys. Było to niemal tak prawdopodobne jak to, że na zachodzie wyginą feniksy. A jednak i jedno, i drugie okazało się możliwe.

Dojeżdżam do wyznaczonego przez siostrę budynku. Klepię towarzyszkę po karku, w odpowiedzi otrzymując ciche warkniecie. Zwierzę zatrzymuje się, a ja spokojnie zsiadam kierując się do wejścia. Próbuję zignorować woń alkoholu, zaklinając w duchu, że jest to jedyna karczma w tym mieście. Sama najchętniej wybrałabym noc w lesie, pod gołym niebem. Z siłą Lolerey i wiedzą Eaklis na temat słabości stworzeń nocy z pewnością nic by nam nie zagroziło. Z drugiej zaś strony, takie miasteczko skrywać może wiele ciekawych informacji na temat celu naszej podróży.

Nagle z okolic stajni do moich uszu dobiega nienaturalne jak na wierzchowca rzenie. Decydując zajrzeć do środka, kieruję się w stronę końskich boksów. Ku mojemu zdziwieniu w ostatniej zagrodzie nie stoi zwykły rumak. To jest jednorożec, czarny jak smoła. Wierzga niespokojnie, przywiązany do drewnianych belek, a jego czerwone tęczęwki szaleją rozglądając się wokół. Wychodzę pośpiesznie. Wiem, czego chce: mięsa.

Wpadam frontowymi drzwiami do sali pełnej ludzi. Zapewne widok valatiliańskiej dziewczyny zdziwiłby nie jednego, jednak goście, w stanie lekkiego upojenia, mówiąc delikatnie, bawią się w najlepsze słuchając pieśni grajków. Wzrokiem napotykam podobne do moich, intensywnie brązowe tęczęwki Eaklis.

- Niedługo zamieszkaż w lesie - stwierdza z lekkim niezadowoleniem. - Jednak chciałabym, żeby to nastąpiło dopiero, gdy zakończymy naszą podróż.

- Natomiast ty, droga siostrze, widzę, że przywykłaś już do karczmy z tanim winem. Czy jak wrócimy, mam poprosić ojca, żeby wybudował ci własną? - odgryzam się.

- Nie robię tego z przyjemności. Doskonale zdajesz sobie z tego sprawę. To najlepsze miejsce, by dowiedzieć się czegoś ciekawego.

Siadam obok na ławie, by po chwili kontynuować rozmowę. Mam już dosyć takich klimatów. W mojej ojczyźnie nadużywanie alkoholu nie jest pochwalane.

- Jedziemy na zachód już przez tydzień. Twoje efektywne zdobywanie informacji w tawernach sprawia, że nie jesteśmy nawet o krok od odnalezienia lekarstwa.

- Aint, nie unos się tak. Prędzej, czy później znajdziemy coś na ten temat - przechyla się a jej krótka, ryza czupryna odsłania jasną twarz. Jako jedyna w swojej rodzinie posiadam brunatny odcień. Cała reszta czystych valatilian może poszczycić się płomiennie rudymi włosami.

- Mam nadzieję, że nastąpi to prędzej, bo do tego czasu połowa Damnaret'u wymrze.

Eaklis już otwiera buzię, by wyjawic swoje niezadowolenie z zaistniałej sytuacji, jednak zaraz zakrywam jej usta swoją dłonią. Nagłym obiektem mojego zainteresowania jest męska sylwetka wychodząca z zaplecza. Blondyn pośpiesznie omija wszystkie stoliki, by za chwilę - zakładając na głowę pelerynę - zanurzyć się w ciemnościach panujących na zewnątrz.

Czuję, jak Eaklis odsuwa moją dłoń.

- Ciekawe... - szepcze.

- Kto to był?

- Mogę się tylko domyślać. Miał coś ze skrzydłami wyszytego na piersi. Śmiem przypuszczać, że to gryf. W Damnarecie właśnie taki zaszczyt przypada wszystkim lordom i wyższym urzędnikom. To tak, jak u nas feniks - oparła się wygodnie, na jej twarzy malowało się zmieszanie. - Ma jasne włosy... Nie wygląda, jakby stamtąd pochodził.

- Zostawiłaś klacz w stajni?

- Tak... Ale co to ma do rzeczy?

- Na twoim miejscu martwiłabym się o nią. Przyjechał na południowym jednoroźcu. Widziałam jak rzucał się w zagrodzie.

- W takim razie urodził się na wyżynach. Interesujące... A więc lord Damnaret'u pochodzący z Tenebris na leniteryjskiej ziemi - opiera się łokciami o blat. - Król Regem darował ostatnio ten tytuł wielu młodym wojownikom nad Ferus. Nie miałam pojęcia, że wśród jego sojuszników występuje taka różnorodność.

- Król Regem powiadasz... Idealnie się składa, właśnie tam się wybieramy.

Wciążam poranne powietrze nosem upajając się rzeźkością. Przez chwilę zapominam o zmartwieniach i oczyszczam swój umysł nasłuchując budzącej się do życia przyrody. Krople rosy lśnią na trawie, niczym drogie kamienie, a ptaki rozpoczynają swój codzienny koncert.

Eaklis przechyla się w siodle. Rano wygląda jak wrak człowieka.

Uśmiecham się do siebie. Nie rozumiem jej zaspania. Rano wstaję wypoczęta, choć lubię do późna jeździć po lesie na grzbiecie Lolerey.

Z leśnej gęstwiny daje się słyszeć głośnie warczenie. Zaraz potem dźwięk szybującej w powietrzu stali. Spoglądam porozumiewawczo na siostrę.

- Stado wilwarów. Tak sądzę.

- Pięćdziesiąt stóp na wschód. Jadę tam - klepię Lolerey po grzbiecie skręcając w las. Mkniemy chwilę przed siebie, jednak z tyłu słyszę stłumiony głos siostry.

- Nie dorównuję wam szybkością! - krzyczy. Kątem oka widzę, jak ściąga z pleców bagaż. - Łap! Sproszkowane ziele górskie powinno je odstraszyć.

Zdezorientowana spoglądam na plecak. Nie mogę połapać się w tych roślinach.

- Biegnij! - ponagla mnie. - Fioletowy proszek. Poradzisz sobie.

Nie zwlekając dłużej pędzę dalej. W pośpiechu wyciągam wskazany przedmiot i napełniam nim garść.

Za chwilę zarośla ustępują, a przed moimi oczami staje stado z około dziesięcioma bestiami. Wyciągam łuk i z odległości celuję w szyję jednego z wilwarów. Strzała szybuje chwilę i trafia idealnie w cel. Martwy zwierz osuwa się na ziemię, a ja powtarzam czynność, dopóki odległość nie zmniejsza się pozwalając mi na inne działanie.

Zwierzęta, tylko po części podobne do wilków, mają metr wysokości. Spłaszczona głowa jest niemal na równi z tułowiem. Na łbie umieszczona jest para małych oczu i długie nozdrza. Są ślepe. Posługują się głównie węchem.

Spostrzegam znajome czarne, końskie kształty. Gdy jednorożec staje na tylnych kopytach, by uderzyć przeciwnika, zostaje powalony. Inny wilwar przygważdża go do ziemi, uniemożliwiając wykonanie najbardziej skutecznych ataków. Na nic zwierzęciu zęby wgrzające się w łapy napastników przy ich liczebności.

Kilka metrów dalej jego jeździec uparcie blokuje ataki swoim podwójnym ostrzem. Zręcznie obraca je w dłoniach, jednak szanse na wygraną są nikłe. Mimo to widzę, jak walczy dalej, próbując nie przewrócić się o dwa ciała oprawców. Ledwo daje sobie radę z odpieraniem ciosów, a co dopiero ich zadawaniem. Spoglądam na miecze. Nigdy nie widziałam tak wyprawionej stali. Te misterne zdobienia...

Otrząsam się z myśli i zeskakuję z grzbietu przyjaciółki. Wykonuję kilka kroków, tudzież nabierając maksymalnie dużo powietrza i kieruję je prosto w pełną proszku dłoń. Wokół unosi się fioletowa chmura, a wilwary rzeczywiście tracą zainteresowanie i chowają się w zaroślach. Kilka sekund później robię to samo wokół walczącego blondyna. On, dopiero, co zauważa moją obecność i gdy znajduje się poza zasięgiem sinego obłoku, mierzy mnie wzrokiem. Równie nieufnie spogląda na podchodzącego w moją stronę tygrysa. Lolerey także patrzy na niego, jednak zaraz znudzona tym zajęciem, zaczyna domagać się ode mnie pieszczot. W międzyczasie oblizuje pysk umazany krwią.

- Nie musiałaś tego robić - stwierdza oschle. Nie darząc mnie większą ilością spojrzeń idzie w stronę swojego wierzchowca. - Nie potrzebuję niczyjej łaski.

- Naprawdę? Większość ludzi w takiej sytuacji mówi po prostu dziękuję.

- Nie należę do większości. Wolę ostać się w tej mniejszości, która pozostaje oryginalna - klepie ogiera po szyi. Jest rozcięta w kilku miejscach, ale dla takiego stworzenia to tylko niegroźne zadrapania. Młody lord poprawia uprząż. - A teraz, jeśli pozwolisz, oddalę się.

Chce już zasiąść na siodle, jednak mój głos nie pozwala mu ruszyć.

- Nie uważasz, że z odrobinę większą uprzejmością stałbyś się bardziej znośny nie tylko dla mnie, ale także dla całego społeczeństwa?

- Nie wiem, o czym mówisz - wydaje się niewzruszony i ostatecznie dosiada jednorozca. - Przecież nie potrzebowałem pomocy.

- Gdyby nie ja, leżałbyś martwy - gotuje się we mnie, ale staram się nie wybuchnąć.

- Przez ciebie się tego się nie dowiemy.

Ściąga wodze, żeby poderwać się do dalszej jazdy. Po raz kolejny coś mu przeszkadza. Tym razem inny głos i krótkie rude włosy wylaniające się zza liści.

- Myślałam, że klan Cogeriam nigdy nie pozostaje obojętny wobec okazanej mu dobroci - mówi, a ja dostrzegam w jej oczach nutę satysfakcji.

- Dobrze znasz mój ród valatiliańska dziewczyno.

Blondyn delikatnie uśmiecha się.

- Ja też pochodzę z Valatili - fukam pod nosem krzyżując ręce.

- Interesuję się wieloma sprawami, lordzie Corax.

- Widzę, że sława mnie wyprzedza - prostuje się w siodle. - Rzadkością jest mieć zaszczyt obcowania z osobą o wszechstronnych zainteresowaniach. Zdradzisz mi tajemnicę dotyczącą twojej wiedzy na temat rodów?

Mężczyzna wydaje się teraz rozbawiony. Jego niebieskie tęczęwki ani razu nie raczyły zwrócić na mnie uwagi.

- Obawiam się, że po jej wyjawieniu byłabym zmuszona zabić cię, lordzie Corax.

Po lesie odbija się echem krótki, męski śmiech.

- Wybacz proszę, ale muszę przerwać tą wymianę zdań. Czas mnie goni. Mam nadzieję, że niedane nam będzie się więcej spotkać, bo wygląda na to, że wówczas będę zmuszony się odwdzięczyć.

.....
Siedzę przy oknie obserwując jak zasypia miasto. Gdy tylko słyszę za plecami odgłos pukania, wstaję, by otworzyć.

- I jak? - rzucam siostrze pytanie.

Eaklis wchodzi do środka przeciągając się leniwie.

- Wszędzie mówią to samo. Na razie atakuje głównie Damnaret, ale są przypadki zachorowań poza jego granicami. Pojawia się zazwyczaj po kontakcie z innym chorym i objawia zaczerwienionymi oczami. Przebieg u każdej osoby jest taki sam: zarażenie, postępujące osłabienie, śmierć.

Rzeczywiście te informacje nie rzucały nowego światła na dotychczasowe odkrycia.

Kiedy po raz pierwszy usłyszano o tajemniczej chorobie, nie wzbudziła specjalnego zainteresowania, natomiast czerwone oczy tłumaczono podrażnieniem lub alergią. Każdego dnia ludzie umierają, więc nagła śmierć jednego człowieka z wioski na nikim specjalnego wrażenia nie robi. Jednak, gdy czerwonego koloru spojówek nie dało się w żaden sposób skorygować, a rzeczona „alergia” roznosiła się po całych miastach, wśród mieszkańców sąsiednich wiosek wybuchła panika. Od tego czasu każdy, kto spotka chorego spala ubranie i moczy się godzinami w wodzie, modląc, by nie przeszła na niego. Granice stały się bardziej strzeżone niż przedtem, nikt nie wyjedzie bez uprzedniej kontroli. Król Regem wydzielił nawet specjalne obszary, w których osoby zarażone mogą przebywać. Od tygodni do Contaminata Site - miejsca skażonego - przybywa niezliczona ilość medyków i uzdrowicieli. Skuszeni wysoką nagrodą bezskutecznie stosują coraz to nowe preparaty, ostatecznie samemu ulegając zarazie.

Valatilia to kraj ludzi odważnych, honorowych i o twardych przekonaniach. Żyjemy pokojowo, sporadycznie stając po jakiegokolwiek stronie konfliktu sąsiadów. Nikt, kto szuka u nas pomocy nie odejdzie bez niej. Rodzina jest dla nas bardzo ważna, każda ma swoje tradycje. W mojej na przykład od pokoleń ludzie młodzi chcą stać się szanowanymi dorosłymi obywatelami wyruszają na misję, wcześniej ją sobie wyznaczając. Czas mojego wyboru nieubłagalnie się zbliżał. Pamiętam, jakby to było wczoraj: zanurzam się w krystalicznej wodzie strumienia Prima i prosząc duchy o pomoc w spełnieniu misji wymawiam jej cel - odszukanie lekarstwa i położenie kresu dalszym zachorowaniom. Zadanie jest trudne do wykonania, ale nikt nie mówił, że będzie prosto. Jeśli nie podołam, mogę już nigdy nie wrócić do ojczyzny.

- Czyli nie ma, po co się rozpakowywać. Jutro znowu jedziemy dalej.

Spoglądam kątem oka na Eaklis. Dziewczyna jest wyraźnie zamyślona z powodu tej sytuacji. Obwiniam się za to, że pozwoliłam iść jej z sobą, nawet, kiedy sama poprosiła Radę, by było to nasze wspólne zadanie. Mimo to, część mnie cieszy się na jej widok, samą obecność. Często słyszałam, jak mówiono o niej, jako moim zupełnym przeciwieństwem. Dobrze czuję się z tą myślą, uzmysławiając sobie, że idealnie się dopełniamy: jej dyplomacja - moja porywczność, jej wiedza - moja sprawność fizyczna.

- Byłam u mojego konia w stajni - odpowiada po dłuższej chwili. - Lolerey nie ma w pobliżu.

- Wie, że nie lubisz, jak straszy ludzi. Znajdzie nas rano - rzucam się na łóżko. Patrę na sufit. Stwierdzam, że to bardzo nudne zajęcie. - Jak myślisz, czego tu szuka?

- Kto? - odwraca się w moją stronę zdezorientowana.

- No ten cały lord Corax. Nie powinno go tu być, nie?

- Jeśli chodzi ci o jego pochodzenie, to w takim razie nas też tu nie powinno być.

- Nie, nie o to. To... do niego w ogóle nie pasuje. Przecież ci cali lordowie siedzą cały czas na tyłku i zajmują się swoim majątkiem.

- Od kiedy to wrzucasz wszystkich do jednego worka? - Eaklis uśmiecha się. - A może ty po prostu wciąż rozpamiętujesz tamto spotkanie? Na pewno zrobił na tobie wrażenie. Dobrze posługuje się bronią. Ty interesujesz się takimi sprawami.

- Wcale nie - przeczę. - To cham i prostak. Nikt mnie jeszcze tak nie potraktował. Do tego jest zupełnie przeciętny. Takiego jak on spotyka się w każdym mieście.

- Nie przesadzaj... Nie jest aż taki zły. Mało, kto posługuje się teraz podwójną stalą. A te zielone oczy...

- Były niebieskie - poprawiam siostrę niemal natychmiastowo, ale zaraz rozumiem swój błąd. Eaklis wybuchą.

- Mam cię - krztusi się śmiechem.

Pieką mnie policzki. Postanawiam odwrócić się w stronę ściany wcześniej planując zamach na życie i zdrowie mojej siostry mając za narzędzie poduszkę.

Ja i ta moja cholerna spostrzegawczość...

- Odwal się - mówię, gdy jej śmiech nie ustaje. Następuje to w momencie, gdy niczego niespodziewająca się Eaklis dostaje poduszką w twarz.

- Oj, weź przestań - zaczyna, spostrzegając moje obrażenie - Nie mów, że gniewasz się na swoją ukochaną siostrę, Aintres.

Zakrywam sobie uszy dłońmi.

- Nic nie słyszę.

- Nie ignoruj mnie. Lepiej zrobisz pokazując mi jeszcze raz ten pierścień, który zostawiłaś sobie na pamiątkę po waszym spotkaniu.

W tym momencie bardzo żałuję, iż nie posiadam w pobliżu drugiej poduszki.

Przypominam sobie o małym przedmiocie, jaki udało mi się znaleźć po nieprzyjemnym spotkaniu w lesie, kiedy lord Corax raczył już odjechać. To mały, srebrny pierścień z małym aquagas - stworzeniem wodnym popularnym w tym rejonie. Leniteria to kraina wielu jezior, dodatkowo położona nad jednym z mórz.

Nie zmienia to faktu, że jestem zaintrygowana powodem posiadania przez blondyna tylu przedmiotów z różnych rejonów.

- Przykro mi, ale na to trzeba zasłużyć.

.....
- Nie dojedziemy do miasta granicznego przed zmrokiem... - głos siostry wydaje się zmartwiony.

Patrzę daleko przed siebie, na horyzont oblany niemal wszystkimi znanymi mi ciepłymi barwami. Słońce chyli się ku zachodowi, a mi nawet na rękę jest możliwość nocowania w lesie.

Kawałek od nas coś porusza się w krzakach. Za chwilę wybiega z nich mały gryzoń i pędzi przez drogę. Na niebie wypatrzyć mogę stado wędrownych harpii. Ich wysokość lotów sprawia, iż przypominają pojedyncze czarne kropki, jednak nawet stąd słyhać było ich krakanie. Cały las bezustannie wydawał niezliczoną ilość dźwięków. Można by oszaleć...

- Mogłybyśmy podróżować w nocy - mówię, a para zmęczonych piwnych oczu jadących obok mówi sama za siebie. - Ale sądząc po stanie twojego konia przydałaby się dłuższa przerwa. No cóż...

- Jeszcze kawałek - ciągnie. - Z każdym krokiem bliżej.

Kiwam głową na zgodę i przysmykam oczy znów zagłębiając się w symfonię dźwięków. Zupełnie niespodziewanie, kilka drzew dalej spomiędzy gałęzi wylatuje całe stado czarnych wron.

Zanim uświadamiam sobie czyjąś obecność, jest już za późno.

- Eaklis! - zdążam zakrzyknąć, gdy z leśnych zarośli wyłania się przynajmniej piętnastu uzbrojonych mężczyzn.

- Czego chcecie?! - dziewczyna ożywia się.

Nie dostajemy odpowiedzi. Odległość między nami drastycznie się zmniejsza. Nie czekam dłużej. Zdejmuję z pleców łuk chcąc zagrozić napastnikom. W tej samej chwili czuję mocne uderzenie z prawej, po czym głucho upadam na piaszczystą nawierzchnię. Przygważdżające mnie do ziemi ciało nie pozwala na wykonanie jakiegokolwiek ruchu.

Czuję ból w lewym barku spowodowany poturbowaniem, jednak bez chwili wytchnienia usiłuję zmienić swoje położenie. Kątem oka widzę Eaklis jeszcze broniącą się na linii drzew. Moja tygrysica zdąży powalić pięciu ludzi zanim zarzucono liny pętające jej szyję.

Na swoim gardle wyczuwam chłód stali.

Zwierzęciu wystarczył ułamek sekundy, by dostrzec mnie i wpaść w szal. Niemal natychmiast z nowymi pokładami energii zrywa wszystkie więzi odrzucając mężczyzn na boki. Sprawnie odskakuje, aby zatopić śnieżnobiałe kły w brzuchu mojego napastnika.

Jestem wolna.

Coś szybkuje chwilę w powietrzu, a następnie zanurza w aksamitną sierść. Niespodziewanie do moich uszu dochodzi ryk bólu Lolerey. Krew w moim ciele zaczyna szybciej krążyć, w gardle czuję palący żar. Z niezwykłą prędkością wyciągam ze swojego kołczanu dwie strzały na raz i obezwładniam mężczyzn zbliżających się do Eaklis. Za chwilę to samo czynię w innym kierunku.

Nagle zwierze zatacza się i upada. Wygląda jak martwe.

Moje źrenice powiększają się. Wpadam w dziki szal, myśląc o najgorszym. Na plecach czuję dreszcz.

Stoję i miotam jak opętana strzałami w kierunku wszystkiego, co się rusza. Gdy za którymś z kolei razem moja lewa dłoń napotyka pustkę, łuk łąduje na ziemi. Przypominam sobie o niewielkim sztylcie za pasem i biegnę przed siebie w stronę wielkiej masy biało-czarnego futra. Stojący przy niej mężczyzna nie spodziewał się mojego ataku i pada martwy pod wpływem uderzenia. Przez emocje nie zauważam szybującej stali raniącej moje prawe ramię. Zataczam się z bólu, a silne rwanie przysłania prawidłowe funkcjonowanie zmysłów.

- Nie ładnie. Mieliśmy złapać was żywe, ale skoro sprawiasz takie problemy...

Za moich pleców wydobywa się zachrypły męski głos. Napastnik zanosi się śmiechem, czując chorą satysfakcję z ciągnięcia mnie za włosy i przytykania nożyka do szyi.

W myślach proszę Wielką Matkę, by zrobił to szybko.

Zamykam oczy.

Raptem drwiący śmiech zamienia się w falę kaszlu, zaraz po tym, jak coś przelatuje mi nad głową. Ośmielam się otworzyć oczy. Nie słyszałam wcześniej zbliżającego się wierzchowca, jednak teraz od razu poznaję podbite tenebryjską stałą końskie kopyta wydające charakterystyczne dźwięki. Czarny jednorożec wymierza atak z niebywałą gracją. Idealnie współgra ze swoim jeźdźcem dzierżącym w każdej ręce oddzielne ostrze, utrzymując się w siodle tylko dzięki sile swoich nóg.

Znika z pola widzenia gnając za uciekającym zbirem.

Łapiąc się za zranione ramię spoglądam na siostrę stojącą po przeciwnej stronie drogi. Kiwa mi porozumiewawczo głową. Wygląda na wykończoną i umorusaną ziemia, ale całą i zdrową. Coś kłuje mnie w sercu na myśl o mojej małej Lolerey.

- Cholera - zaklina wracający na jednorożcu mężczyzna, ale nie słucham go. Za wszelką cenę muszę dostać się do zwierzęcia. - Uciek! Cholera - powtarza. - Szkoleni dla króla ludzie z Damnaretu.

Z trudem docieram do miejsca upadku tygryscy. Zatapiam pokrwawioną dłoń w jej sierści.

Przymykam oczy. Ledwo udaje mi się powstrzymać łzy. Wyczuwam płytki oddech.

- Żyje. Nic jej nie będzie dziewczyno. Została uśpiona. Mogę przetransportować ją do... - Lord Corax zbliża się do mnie, a ja czuję zbierającą się w sercu gorycz.

- Nie potrzebuję twojej łaski! - krzyczę.

Zaciskam zęby. Nie muszę patrzeć, by wiedzieć, że wrogo mierzy mnie wzrokiem.

- Wybacz jej. Jest w szoku - Eaklis stwierdza spokojnie, jednak nie na tyle, by mnie uspokoić.

Serce kołacze jak oszalałe. Nie mogę pozbierać myśli. Jej oddech jest tak słaby...

- Być może. Ale sądzę, że jest także źle wychowana, reagując w taki sposób na zaistniałą sytuację - głos z dużą nutą arogancji złości mnie jeszcze bardziej.

- A może - zaczynam, podnosząc się z wilgotnego gruntu - lord Corax byłby łaskaw wyjawić nam, co takiego robi w Leniterii i co wspólnego ma z tym ten pierścień. - Z mojej kieszeni wyłania się mały drobiazg.

- O... - udawane zdziwienie nie wyszło mu zbyt dobrze. - Zastanawiałem się, gdzie się podział. Ale skoro go znalazłaś, dziewczyno, bądź tak uprzejma i zwróć mi go, a wówczas każde pojedzie w swoją stronę i nie będzie miało więcej tej nieprzyjemności spotkać to drugie.

- Jestem zmuszona powielić moje pytanie na temat twojego pobytu tutaj, lordzie, bo w innym wypadku będę zmuszona jeszcze trochę przechować ten mały przedmiot.

Na jego twarzy pojawia się satysfakcjonujący uśmiech.

- Jesteśmy w Leniterii, dziewczyno. Myślisz, że nie byłbym w stanie załatwić sobie jeszcze stu takich pierścieni?

- Czyli ten tutaj nie ma dla ciebie żadnej wartości? - pytam, ale nie jestem już tak pewna swoich słów.

Lord Corax wygląda na poirytowanego.

- To właśnie powiedziałem dziewczyno. Nie każ mi się powtarzać.

- Do czego ci on? - pytam dalej zaciekle.

- Dziewczyno...

- Mów, a będziesz miał mnie z głowy.

Blondyn przewrócił oczami.

- Stare przesady. Nigdy nie słyszałaś, że nad posiadaczem pięciu przedmiotów z rejonów znad każdej z Pięciu Wież krąży szczęście?

Przesady przesadami, jednak dla mnie nie brzmi przekonująco.

- Udowodnij - dociekam, widząc, jak mój rozmówca przewraca oczami.

- Co ci udowadniać, dziewczyno? Ja i Amicum, - wypowiadając imię wskazuje na jednorozca - jak pewnie zauważyłaś, pochodzimy z Tenebris. Posiadam tytuł lorda z Damnaret'u, a posługuję się bronią wykutą z głębi Ignis. Trzymasz mój leniteryjski pierścień - zrobił przerwę, po raz pierwszy patrząc mi prosto w oczy. - Jak widzisz, moje intencje są całkowicie szczerze.

Nie widzę powodu, by dalej przetrzymywać w ręku drobną część biżuterii. Od niechcenia rzucam w jego stronę pierścień. Lord łapie go w powietrzu.

- Widzę, że się dogadaliśmy.

- Niezupełnie - zatrzymuję go. - Uciekł ci jeden z ludzi. Domyślam się, że nie pragniesz, by dotarł do stolicy.

- Do czego zmierzasz? - nabiera podejrzeń.

- Na pewno masz dobre układy z królem. Zaprowadź nas do niego, a w zamian pomożemy ci złapać i uciszyć zbiega.

Zaśmiał się.

- Nie przeceniasz moich umiejętności dziewczyno? Jestem w stanie sam naprawić ten błąd. Poza tym, jesteś śmieszna, sądząc, iż poniżę się na tyle, prosząc o pomoc dziewczynę.

Czuję narastającą złość przez jego słowa, lecz staram się tego nie okazać.

- Więc inaczej. Jak widzę, zmierzasz w stronę Damnaretu, więc na razie nie odwiedzasz Valatili. Świetnie się składa. Będziemy ci tylko towarzyszyć w poszukiwaniach uciekiniera, później zaprowadzisz nas do Regem'a. W zamian otrzymasz pochodzący z zachodu łańcuch, który mam zaszczyt posiadać.

W jego oczach coś rozbłysło. Uśmiechnął się, ale inaczej niż zwykle.

- Nie jesteś taka głupia, jak sądziłem dziewczyno. Umowa stoi. Wprowadzę was przed króla w zamian za coś z Valatili. - Podnosi się na rękach i zeskakuje z jednorożca. - Skoro będziemy przez kolejne kilka dni na siebie skazani, powinniśmy się poznać.

- Mam na imię Aintres, a to moja siostra Eaklis.

Spogląda podejrzliwie. Jego twarz zdaje się być niewzruszona, ale oczy zdradzają: „Siostry? Niemożliwe. W ogóle nie jesteście podobne.”

- Teraz moja kolej. Wiem, że znacie moją godność, jednak chcę się przedstawić jak należy. Jestem Corax z rodu Cogeriam, najbardziej szanowanego klanu na górzystych ziemiach Tenebris, Lord Damnaretu, Dowódca zwycięskiej armii stacjonującej nad Ferus. Najbardziej wierny i oddany w walce mąż urodzony na nierównych terenach mojej ojczyzny - wymienia.

- A także najbardziej egoistyczny i zadufany w sobie dupek na całym świecie - dodaje szeptem.

.....
Ognisko nadal się żarzy, spalając naokoło coraz więcej trawy.

Wpatruję się w tańczące iskierki gładząc aksamitną sierść. Oparta plecami o biały brzuch podnoszę się przy każdym wdechu. Z upływem czasu staje się coraz bardziej odczuwalny. Dodatkowo dołączają ciche powarkiwania. Nie odchodzę, przyzwyczałam się.

Znowu dżgam patykiem rozpalone kawałki drewna. Po raz pierwszy od kilku tygodni czuję rozchodzący się po ciele chłód. Dotykam niepewnie mojej rozciętej ręki, która na szczęście już nie krwawi. Niestety ból nie ma ochoty ustąpić. Już nawet nie przejmuję się tą widoczną raną. Czym inny się martwię. Coś lodowatego chwytła mnie za serce.

- Jak dobrze nam pójdzie, jutro o tej porze będziemy w połowie drogi do stolicy.

Eaklis dorzuca do ognia kilka gałązek i zasiada obok mnie.

- Mam złe przeczucia... - mówię, a z ust wydobywa się para. Noc jest chłodna.

- Czy to na pewno ta sama Aintres, którą znam? - na jej twarzy pojawia się grymas.

- Moja siostra nigdy się niczym nie przejmuję. To mi w udziale przypadło zamartwiać się za nas obydwie - ciągnie, a ja milczę, obejmując kolana ramionami. - Tak sobie myślę... Może zbyt szybko podjęłaś tę myśl? Jesteś taka porywczą...

- Wiesz dobrze, że to słuszna decyzja - wyrzucam, patrząc w zamartwioną parę piwnych oczu. - Potrzebujemy tego. Staram się szukać różnych rozwiązań. Musimy spróbować. Chcesz już nigdy nie zobaczyć domu?

- Są istotniejsze sprawy, droga siostrze. Ty jesteś ważniejsza od mojego powrotu do Valatili.

- Nie powinnaś się mną opiekować - śmieję się gorzko. - To ja jestem ta starsza. Zapomniałaś?

- To nie wiek jest miarą narzuconej odpowiedzialności.

Poważnieję.

- Twoje słowa wyprzedzają twój wiek. Nie powinno tak być.

- Zaistniała sytuacja wymusza takie rozwiązanie. Ja nie potrzebuję twojego poświęcenia. Wiem, ile znaczy dla ciebie noszony na szyi łańcuszek. To rodzinna pamiątka, jedyny przedmiot przypominający ci o domu. Możesz się jeszcze wycofać.

- Nie zmienię tej decyzji.

.....
- A teraz ustań spokojnie i powtórz to, co ci powiedziałam.

- Niektórzy w przeciwieństwie do ciebie, dziewczyno, przyswajają informacje już za pierwszym razem - odpowiada z rozbawieniem lord Corax, choć nie do niego kierowane były te słowa.

- Nie nazywaj mnie tak! - unoszę się. W odpowiedzi otrzymuję spojrzenie z ukosa.

- A czyż nią nie jesteś, dziewczyno?
- Znowu to robisz! - moje dłonie automatycznie zamieniają się w pięści. - Ja mam imię!

- Och, przestańcie! - Eaklis podnosi głos. - Chce przeżyć, choć jeden dzień bez takich złośliwości - spojrzała na mnie wymownie. - Aintres...

Wypuszczam powietrze i zwracam się w kierunku stajni. Muszę tam iść, jej obecność zawsze mnie uspokaja. W mieście nie pozwalam Lolerey szwędzać się po ulicach.

To są zaledwie trzy dni. Trzy. A ja zdążyłam zamienić się w chodzący ignisyjski wulkan. Już niedługo wybuchnę, a wtedy zobaczy, co znaczy zadrzeć z potomkiem feniksów!

To wręcz cud, że z nim wytrzymuję. A jeszcze większym cudem było dojście do porozumienia w sprawie zbiega. Czekając na przebudzenie Lolerey straciliśmy wystarczająco dużo czasu. A gdy nadarza się okazja - jesteśmy w samym centrum Sackleet - głównego miasta granicznego. Tu załatwienie sprawy po cichu graniczy z cudem. Oczywistym faktem jest, iż nasz uciekinier nie opuści w samotności tego miejsca, ani nawet sam nie przejdzie przez ulicę zdając sobie sprawę z zagrożenia.

I właśnie wtedy w mojej głowie zrodził się plan doskonały. Tak dobry i, o dziwo wykonalny, że sama muszę sobie pogratulować. Chodzi głównie o wywabienie go z przeludnionej i bezpiecznej karczmy do ciemnej uliczki, czy pustego pokoju, gdzie spokojnie można załatwić tą sprawę. W razie czego, umiem się bronić, także uznałam, iż perfekcyjnie nadaję się do roli przynęty. Poza tym łatwo można mnie pomylić z Damnaretką, czego lord Corax nie omieszkał mi wytknąć.

I tu pojawiła się kolejna złośliwość. Co słyszę w odpowiedzi? „Nie nadajesz się. Jesteś za mało kobieca.” Eaklis, widząc moją złość, nie chciała kolejnej kłótni, dlatego podjęła decyzję i wbrew mojemu zdaniu pozostała wabikiem. Mam przez to do Corax'a żal, gdyż boję się o młodszą siostrę, ponadto musiałam użyć barwnego ziela do zmiany koloru jej włosów. Teraz, gdy na nią patrzę brakuje mi tego ognistego odcienia, który musiał ustąpić na rzecz jasnego brązu.

- Już czas - słyszę za plecami.

Siostra uśmiecha się do mnie, by złagodzić moje niezadowolenie, jednak złość narasta we mnie już na samą myśl o wspólnym czatowaniu z aroganckim lordem.

- Musimy zająć pozycje - Corax raczył odwiedzić miejsce zwane „stajnią”. - Chyba wytrzymasz tą godzinkę bez niej?

- Z chęcią to zbadam. Oczywiście zaraz po ówczesnym sprawdzeniu, czy ty wytrzymasz godzinkę w jej brzuchu - uśmiecham się krzywo.

- Ależ z wielką chęcią. Niestety aktualnie czas nie pozwala mi na taki rodzaj rozrywki.

- Po prostu przyznaj, że nie chcesz opóźnić podróży, bo przez ciebie Lolerey na pewno dostałaby niestrawności.

.....
Grupa strażników przechodzi ulicą, by zmienić wartę. Czekam oparta o kamienną ścianę, aż kroki ucichną.

- Teraz - szepce Corax.

Odpycha się od muru i niepostrzeżenie przebiega przez ulicę. Robię to samo, tuż za nim. Gdy do pokonania mamy kolejną alejkę, postanawiam delikatnie wychylić się, co miałyby na celu sprawdzenie, czy kolejna grupa strażników nie zamierza tędy przejść. W pewnej chwili napotykam opór i silne ramię na powrót przygważdża mnie do ściany. Z ciemności spogląda na mnie para karcących oczu. Nie mogłam znieść tego, że traktuje mnie jak nieudolnego szpiega. Naprawdę potrafię się zakradać, a porządne obserwacje są podstawą naszego zadania.

Wreszcie docieramy do umówionego miejsca. Rozglądam się po oknach gospody i szybko wskazuję te właściwe. Odrzucam pomoc towarzyszącego mi lorda i sprawnie wspinam się na piętro. Oboje lądujemy w nieoświetlonym pokoju. Po pewnym czasie przyzwyczajam się do panującej ciemności i udaje mi się rozpoznać znajdujące się tu meble.

Wzdycham głośno. A więc pozostaje tylko czekać.

I tak kolejne minuty mijają, ciągnąc się w nieskończoność.

Co chwila zmieniam położenie mojej głowy na grubych drzwiach oddzielających mnie od korytarza. Za każdym razem to samo. Zupełna cisza.

- I? - słyszę za moimi plecami.

- Wciąż cisza - odpowiadam niechętnie.

Znowu kładę głowę w inne miejsce, jednak tym razem zapominam o zranionym ramieniu i uderzam nim o drewnianą przeszkodę. Z moich ust pada przekleństwo.

- Przepraszam, że przeszkadzam w tym jakże krótkim i interesującym monologu, ale czy mogłabyś mnie nie demoralizować, dziewczyno?

Po raz kolejny tego wieczoru robię sobie lekcję cierpliwości i nie reaguję wybuchowo.

- Postaram się - szepczę. - Uderzyłam się w ramię.

- Należą mi się przeprosiny, najlepiej pisemne - Przewracam oczami. - Zdaję sobie sprawę, że nie zrobisz niczego, co ci polecę, aczkolwiek radziłbym zmienić opatrunek.

Spoglądam na ramię i pomimo panującego półmroku dostrzegam ciemne plamy na jasnej powierzchni bandaża. Przez ten ułamek sekundy zaczynam martwić się ponownym krwawieniem, jednak tuż po tym na korytarzu słyszę echo rozchodzących się korytarzem kroków. Nerwowo odwracam się dając tym samym znak nadejścia spodziewanych gości. Stajemy na wyznaczonych pozycjach.

Wkrótce potem drzwi otwierają się, a poszukiwany mężczyzna zabiera się za zapalanie świec. Od razu spoglądam na Eaklis. Wszystko z nią w porządku, jednak widać u niej lekkie zdenerwowanie. Zdaje sobie sprawę z naszej obecności równie mocno, co do faktu, by nie wzbudzać podejrzeń.

W momencie, gdy blask świec daje wystarczająco dużo światła mężczyzna odwraca się do Eaklis z lubieżnym uśmiechem.

- Może od razu przejdziemy do rzeczy?

- Też tak myślę - mówi zniechęta Corax, wychodząc z ukrycia. W tej samej chwili wyjmuje jeden ze swoich mieczy i wymierza cios. Niespodziewanie wrogi osobnik odwraca się i ukrytą pod ubraniem bronią blokuje uderzenie. Bez chwili zwłoki odpycha go do tyłu, a jego stal przecina powietrze. Lord Corax w ostatnim momencie uskakuje.

- Spodziewałem się odwetu ze strony naszych ofiar, ale żeby najbardziej zaufany człowiek naszego szanownego króla okazał się zdrajcą?

Napastnik udaje zdziwienie podczas zadawania kolejnych ciosów.

- Nie jestem zdrajcą! - Po twarzy Corax'a przechodzi cień złości.

- Czyżby? - unosi brew.

Nie mogę już stać bezczynnie. Bez zastanowienia rzucam się do walki wyciągając swój sztylet. Tuż przed celem blondyn zgrabnie wysuwa mi ostrze z dłoni. Po pomieszczeniu rozchodzi się dźwięk stali uderzającej o podłogę.

- Nie wtrącaj się. To moja walka - słyszę w odpowiedzi.

Ze złością spoglądam na pogrążoną w walce dwójkę. Oceniam sytuację i usiłuję dostać się do mojej broni wypchniętej na drugi koniec korytarza. Tymczasem osłaniam się przed lecącym w stronę moją i Corax'a talerzem, lądując na podłodze.

Kątem oka spoglądam na przerażoną Eaklis, która gestami zwraca moją uwagę. Szybko sięga do buta i niepostrzeżenie wyciąga z niego nożyk. Szybkim ruchem ręki rzuca go na podłogę, bym miała do niego dostęp. Ledwo chwytam przedmiot, a obcy mężczyzna wyczuwa chwilę nieuwagi rywala i pcha całą swoją siłą na stół.

Corax uderza ciężko o blat, przełamując go na pół. Nieprzyjaciel wykorzystuje ten moment utraty równowagi i rzuca się do wyjścia. Tam napotyka kolejną przeszkodę w postaci Eaklis, rzucającej mu się na plecy. Ją także sprawnie udaje mu się zrzucić jednym ruchem ręki. Bez zwłoki zaciskam palce na nożyku i celuję w miejsce, które skutecznie mogłoby spowolnić napastnika - w nogę. Słyszę okrzyk bólu, gdy ostrze wbija się w jego łydkę. Zaraz potem znika za ścianą. Czuję obok siebie przechodzącą pośpiesznie sylwetkę. Corax odzyskał równowagę i pędzi za uciekinierem, także znikając na korytarzu. Wstaję pośpiesznie, by uczestniczyć w pościgu. Zatrzymuję się jednak zrezygnowana w progu, gdy stwierdzam, iż nie wiem, w którą stronę pobiegli.

Za sobą słyszę pośpieszny oddech i przypominam sobie o wciąż leżącej na ziemi przez uderzenie Eaklis. Momentalnie odwracam się i przed oczami mam widok skulonej w kącie siostry.

- Eaklis... - łapię ją za rękę, którą kurczowo obejmuje brzuch. - Wszystko w porządku?

Usiłuję zwrócić na siebie jej wzrok, jednak ona martwo spogląda gdzieś w dal. Oddycha pośpiesznie, jakby nie mogła złapać tchu. Czuję, jak po jej ramionach przechodzą dreszcze.

- Eaklis? - pytam wystraszona. - Co ci jest?

Podnoszę dłoń, by dotknąć jej twarzy, jednak natychmiastowo odkrywam, że nie jest czysta. Wzbiera we mnie przerażenie. Sama zaczynam drżeć. Z niedowierzaniem spoglądam raz na swoją dłoń, raz na jej. Na obydwóch jest krew. Krew Eaklis.

- Musimy stąd uciekać. Ten człowiek nie będzie już nam przeszkadzał, jednak w końcu ktoś znajdzie to, co z niego zostało. - Corax wpada do pokoju wyraźnie z siebie zadowolony, jednak na nasz widok uśmiech znika z jego twarzy. - Coś się stało?

- Eaklis, słyszysz mnie? - nie reaguję na kierowane wcześniej słowa. - Odezwij się, błagam! - Kierowane stanowczo zdania zmieniają się w rozpaczliwe prośby. Nie mogę zapanować nad wzbierającą w oczach słoną wodą, gdy oglądam grymasy bólu na jej jasnej twarzy. Patrzę jak cierpi i nic nie mogę zrobić.

- Jest ranna? - Corax kieruje do mnie pytanie zdeorientowany.

Czuję wzbierającą we mnie złość.

- Tak! - krzyczę, moje oczy są przeszkłone - Jest ranna, być może przez to umrze, ale ty ciesz się, że nikt już na ciebie nie doniesie królowi! - rzucam patrząc mu w oczy, w międzyczasie łapię za jakiś materiał leżący na łóżku i próbuję zatamować krwawienie.

- Uspokój się dziewczyno. Zaraz wezwiemy uzdrowiciela.

- Uspokój? Uspokój?! Gdybyś, choć raz schował tą swoją pieprzoną dumę, nic by jej nie było! Gdybyś pozwolił sobie pomóc, nie zraniłby jej! Nie rozumiesz? To twoja wina! - Czułam, jak pierwszy raz od dawna po moich policzkach płynęły łzy. - Wiesz, co? - Sięgam po łańcuszek schowany za koszulą, po czym rzucam go Corax'owi pod nogi. - Zabieraj go i wynoś się! Nie chcę cię więcej oglądać! To ty powinieneś tutaj leżeć zamiast niej, tylko, że nad tobą nikt by się nie rozwodził! Nikt ciebie nie obchodzi, więc tobą nikt by się nie przejął! - wyrzucam z siebie. W innych okolicznościach pewnie z satysfakcją spoglądałabym w jego zszokowaną twarz,

jednak teraz, nie mogąc zapanować nad rozpaczą wróciłam do oglądania rany Eaklis. Moje serce nagle się ściska, gdy widzę szerokie cięcie przez długość brzucha.

Nagle Corax znajduje się tuż obok mnie i łapiąc Eaklis podnosi pośpiesznie z podłogi. Do moich uszu dociera kolejny jęk bólu.

- Zostaw ją! Słyszysz?!

- Musimy uciekać dziewczyno. Niedaleko stąd jest Zakon Sióstr. Tam znajdziemy najlepszą pomoc leczniczą - patrzy na mnie wzrokiem pełnym zrozumienia - Beze mnie tam nie dotrzecie.

Jego słowa brzmią jak stwierdzenie, jednak, o dziwo, czeka na moją decyzję. W moich żyłach nadal krew gotuje się ze złości na niego, jednak zważając na Eaklis rozum podpowiada, że to najlepsze rozwiązanie.

- Więc nie zwlekajmy.

.....
Jedna ze strzał przeszywa powietrze, by idealnie trafić na miejsce swojej poprzedniczki wbijając się w korę. Większa część drzewa drży na skutek uderzenia. Zapewne, gdyby w gałęziach ukrywał się jeszcze jakiś ptak, uznałby ten moment za idealny na poderwanie się do lotu.

Kolejne wystrzały kierowane są już tylko niżej, w linii prostej. Nie mam już siły, by wstawać za każdym razem i wyciągać strzały z pnia.

Krażę niespokojnie naokoło ogniska mając na karku kolejną nieprzespaną noc. Niezależnie od miejsca spoczynku męczy mnie bezsenność. W moim wnętrzu nagromadzają się chyba wszystkie negatywne emocje. Nigdy nie myślałam, że można czuć naraz tak wiele...

Pośród leśnej ciszy nie mogę zignorować ciężkiego oddechu leżącej Eaklis. Dziewczyna leży niespokojnie wtulona w aksamitną sierść śnieżnobiałej tygrysy. Usiłuje zmienić pozycję, jednak nieustanny ból poniżej klatki piersiowej uniemożliwia jej wykonanie większego ruchu. Co pewien czas majaczy w gorączce, która nadal dręczy chude ciało.

Napotkany uzdrowiciel zapewnił, że przeżyła już najgorsze, jednak mnie nadal męczą najczarniejsze myśli. Próbuję znaleźć sposób na uspokojenie się. Spoglądam w kierunku północy w nadziei, że uda mi się wypatrzeć, choć najwyższe konary Pierwszego Drzewa, w którego okolice zmierzamy. Niestety jest już zbyt ciemno.

Pozostawiona trochę dalej druga z bestii nagle postanowiła się przybliżyć. Amicum, czarny jednorożec lorda Corax'a, zawsze wolał ukrywać się w ciemnej toni nocy, aniżeli przesiadywać w ciepłe ogniska. Dziwię się, spoglądając na jego czerwone oczy, zbliżające się w moim kierunku. Nie wyczuwam pałającej od niego agresji. Zwierzę nie wydaje z siebie odgłosu, jakby nie chciało zbudzić śpiącej już Lolerey, czy Eaklis. Po prostu podchodzi i trąca mnie głową. Odbieram to, jako gest pocieszenia, odwiedzając się poklepaniem Amicum'a w szyję.

Kawałek za sobą słyszę trzaski łamanych, drobnych gałązek. Zaraz potem na polankę, las wypuszcza postać Corax'a. Na nasz widok na jego twarzy maluje się głębokie zdziwienie.

Jednorożec odwraca się i powoli wraca na swoje miejsce.

- Nadal nie możesz spać, dziewczyno?

Potakuję.

- Natrafiłem w lesie na kilka znanych mi roślin leczniczych, również tych nasennych, także jakbyś chciała...

- Będę przy niej czuwać - wchodzę mu w słowo.

- Rozumiem twoją decyzję, pewnie postąpiłbym tak samo. Nie chciałbym jednak, byś aż nadto się przemęczała. Być może już jesteś od tego chora... - Westchnął, a ja nie przejmuję się jego słowami. - To chociaż pozwól sobie pomóc w inny sposób.

Nieoczekiwanie zbliża się, a ja nie do końca wiem, co zamierza.

- Nie potrzebuję żadnej pomocy - stwierdzam odruchowo.

- Czyżby? - uniósł brew. - Pośród moich znalezisk jest także liść gorejącego krzewu. Na pewno wspomogę leczenie twojego ramienia. Minęło już trochę czasu od zranienia, a nadal nie wygląda dobrze. Mogę?

Mimowolnie spoglądam na ramię. Materiał, którym jest okryte nie należy do najczystszych, ponadto znaleźć na nim można ślady zaschniętej krwi. Przez martwienie się o siostrę nie dbam o nie specjalnie. Oczywiście staram się zachowywać go w zadowalającej czystości, jednak przewiązywanie go materiałem z pomocą tylko jednej, zdrowej ręki to już inna historia.

Jest mi naprawdę obojętnie, więc kiwam głową na znak zgody.

Lord Corax wyjął zza pasa niewielki nożyk, którym szybko przeciął materiał. Następnie przemył wodą z przetartym w niej liściem. Zapiekło, lecz tylko przy pierwszym zetknięciu ze skórą.

- Nie posądzałem cię o jakiegokolwiek układy z moim kompanem, aż do teraz... - zaczął nagle w trakcie zabiegu. - Z przykrością muszę stwierdzić, iż masz w sobie coś, co przyciąga zwierzęta.

Odsunął się, kończąc wiązanie nowego, czystego materiału, a mnie naprawdę dziwi fakt, że padają z jego ust takie słowa.

- Chyba jednak jestem chora, bo zdaje się, że właśnie usłyszałam od ciebie komplement - mówię, a młody lord wlewa do miseczek wodę, ustawiając się tyłem.

- To chyba zaraźliwe, bo po raz pierwszy ty przyznałaś mi rację.

Uśmiecham się i niemal szokuje mnie widok tego sposobu okazywania radości również na jego twarzy, jednak niemal natychmiast karcę się w myślach. Nie teraz, gdy Eaklis jest w takim stanie.

Corax wyczuwa moją zmianę i na powrót siada obok.

- Zaschło mi w gardle po tej wyprawie. Pomyślałem, że pewnie też chętnie się napijesz - powiedział z wyczuwalną nutą współczucia w głosie, podając mi miseczkę.

Podziękowałam za pamięć szybkim spojrzeniem i przyjąłam naczynie. Upiłam spory łyk, znajdując zajęcie w przyglądaniu się płomieniom i wsłuchując w odgłosy trzaskającego drewna.

- Jutro dojedziemy do Zakonu Sióstr, tam twoja siostra dostanie najlepszą pomoc leczniczą, jaką możesz spotkać w całym Rejonie Pięciu Wież.

Te słowa nie brzmią jak otucha, jednak uspokajam się nieco. Po moim ciele przepływa coś na kształt ulgi. Niespodziewanie powieki zaczynają mi ciążyć. Nie opieram się dłużej. Moje ciało łąduje na trawie, pozwalając mi po raz pierwszy od trzech dni poczuć się błogo. Nie wnikiem już, czy to za sprawą słów pocieszenia, czy napoju, który zabarwiony nasennym liściem na jasny fiolet nocą wydaje się najzwyczajszą wodą.

.....
Już z oddali słychać targane przez wiatr kolorowe płótna, wywieszzone na masztach wież. Na każdej z nich znajdują się stworzenia - herby każdego państwa w łączącym je kręgu: smok, znak Ignis; feniks odpowiadający Valatili; opiekujący się Damnaret'em gryf; jednorożec, który czuwa nad Tenebris i aquagas widniejący na godle Leniterii.

Całe znaczenie tych zwierząt znaleźć można w każdej historycznej księdze. To opowieść o wspólnym zrozumieniu i konieczności wzajemnej współpracy. Bestie te, jako przedstawiciele każdego rejonu świata, przybyły w to miejsce, by ustalić warunki

zawarcia pokoju. Bez niego ziemia pogrążona niekończącymi się sporami, niechybnie zmieniałaby się w pustkowię. Na pamiątkę tego porozumienia, zwierzęta zasadziły roślinę, zwaną teraz Pierwszym Drzewem, a w miejscu zamieszkania każdego z nich wybudowano Wieżę. Każda kraina posiada w swoich granicach jedną taką budowlę.

Jako, że Zakon opiekuje się Pierwszym Drzewem zobowiązany jest również do dbania o wszelką tolerancję ustanowioną przez pakt. Nie ważne skąd pochodzisz, kim jesteś: zwierzęciem, czy człowiekiem, właśnie tutaj znajdziesz każdą potrzebną ci pomoc. To wielkie szczęście, że będąc w takiej sytuacji jesteśmy właśnie tutaj.

Oczywiście nie da się nie zauważyć najwyższych gałęzi Pierwszego Drzewa. Mimo wysokich murów chroniących jej pień, roślina wypuszcza swoje konary jeszcze trzydzieści stóp poza nie.

Podjeżdżamy do szkarłatnego ogrodzenia, w dużym stopniu przykrytego wszelką roślinnością. Brama bardzo szybko otwiera się, co nie uchodzi naszemu zdziwieniu.

Przed moimi oczami ukazuje się przedziwny widok. Szeroka na dwa powozy droga, wysadzana kamieniami we wszystkich odcieniach czerwieni, prowadzi prosto do dużego gmachu, zwężając się coraz bardziej u celu. Po bokach rozgałęzia się, a tak powstałe uliczki kierują przechodniów do niewielkich, jednoosobowych domków zamieszkiwanych przez Siostry. One, podobnie jak mur, niemalże pochłonięte są przez przyrodę. Wygląda to tak, jakby nikt nie przeszkadzał naturze samej się rozwijać, a niekiedy rosnące swobodnie drzewa stanowiły część dekoracji, czy mebla.

Mając na uwadze, jak bardzo ważny jest dla Eaklis czas, nie zwlekamy ani chwili dłużej. Mijamy część mieszkalną i kierujemy się w stronę głównej części obiektu mając nadzieję, że tam właśnie uzyskamy pomoc.

Przychodzi ona do nas jednak wcześniej, niż byśmy się tego spodziewali.

- Miło was powitać, zacni goście - słyszę ciepły, kobiecy głos. - Mam na imię Wen i jestem tu, by was poprowadzić. Już wszystko jest przygotowane na waszą wizytę. Nasi najlepsi uzdrowiciele zajmą się należycie waszą towarzyszką.

Zdezorientowana spoglądam na Lolerey, do której grzbietu bezpiecznie przypięta jest Eaklis. Podchodzą do niej inne kobiety w brązowych szatach usiłując ostrożnie znieść ją na dół. Tygrysica nieufnie powarkuje, jednak na moje skinienie zaczyna zachowywać się bardziej potulnie.

- Chodźcie za mną, szanowni goście - rusza przed siebie. - Ona jest już bezpieczna, chodźcie.

- Droga pani, czy możemy wiedzieć, jak... - zaczyna Corax, jednak kobieta wchodzi mu w drogę.

- Wielka Matka zawsze wie, gdy ktoś ma się zjawić - odpowiada łagodnie.

Zza naszych pleców słychać głośnie rżenie. Szybko okazuje się, że jest to Amicum, wierzgający niespokojnie, gdy jedna z Sióstr chce odprowadzić go w bardziej odpowiednie dla zwierzęcia miejsce.

- Proszę wybaczyć. Jednorożce z natury są uparte, a ten wyjątkowo. Zapewne tylko ja jestem w stanie zapanować nad jego buntowniczą naturą. Proszę o wybaczenie, dołączę, gdy tylko odstawię go na wskazane miejsce.

- Myślę, że to najlepsze rozwiązanie, moja przyjaciółka, Blea, pokaże ci łąki, na których twój przyjaciel będzie mógł wypocząć. Później także pokieruje do nas.

Corax kiwa na pożegnanie i oddala się.

Nie zważając na nic więcej ruszam za Wen. Podążając wielką ulicą wskazuje mi niektóre z większych obiektów, opisując je nieco.

- Wszystkich nas cieszy twe przybycie, pani - mówi, najzyczliwszym tonem, jaki kiedykolwiek słyszałam, wprowadzając do wielkiego gmachu usytuowanego na środku. Tu zapewne mieści się siedziba Wielkiej Matki, coraz rzadziej używana już Rada oraz główne wejście do ogrodów. - Rzadko swoją obecnością zaszczycają nas osoby tak wysoko urodzone. Co przyprowadziło cię tak daleko od domu, pani?

- *Muneris* - mówię krótko, rozglądając się pośpiesznie, by jak najwięcej zapamiętać z tego miejsca. Użyta przeze mnie nazwa, to w języku przodków oznacza „zadanie”.

- Oh. To bardzo wyjątkowa okazja. Wręcz specjalna, rzekłabym. Być może oto jest właśnie powód, dla którego Wielka Matka pragnie cię ujrzeć jeszcze dziś - wypowiada się podekscytowana.

- Wielka Matka chce mnie widzieć?

- Ależ oczywiście. Co prawda nie przyjmuje często przejezdnych, jednak dziś wyjątkowo nie dziwię się postanowieniu ujżenia ciebie, pani.

Czuję przechodzący po ciele dreszcz. To wielki zaszczyt. Nie uważam, bym na niego zasługiwała.

- Nie musisz zwracać się do mnie tak oficjalnie. Mam na imię Aintres. Mów mi po imieniu.

- Jak sobie życzysz, pa... Aintres - uśmiecha się czule, przystając przed masywnymi drzwiami. - To wejście do pokoju, w którym przebywa Wielka Matka. Nie przekroczę tego progu z tobą, Aintres. Jednak, gdy tylko go opuścisz, mogę ci towarzyszyć w drodze do ogrodów. Oczywiście, jeśli tylko będziesz chciała.

- Z wielką chęcią. Nie mogłabym ominąć okazji zobaczenia Pierwszego Drzewa.

Gdy kończę wypowiedź, kobieta uśmiecha się wyraźnie usatysfakcjonowana, po czym otwiera wrota. Waham się przed wejściem, jednak zaraz po wzięciu dużego wdechu przestępuję próg. Od razu czuję smagającą delikatnie kostki trawę. Zastępuje ona dywan. Całe pomieszczenie wydaje się być ogrodem. Jedyne, co zostało stworzone przez człowieka, to ściany otaczające pokój. Na samym środku rośnie drzewo, którego korzenie można wyczuć, co kilka kroków pod warstwą trawy. Nade mną widoczne jest niebo.

Do moich uszu dociera westchnięcie. Poruszona tym faktem patrzę w okolice drzewa i natrafiam na widok staruszki siedzącej na jednym z korzeni. Ma czerwone odzienie, jednak pokrywają je teraz liście i mech. Patrząc na twarz zauważam puste spojrzenie. Jest ślepa.

- Córko Feniksa... - niemalże szeptem. - Podejdz do mnie... Dziewczyno Inna Niż Wszystkie, zbliż się... Siądź obok...

Posłusznie podchodzę i zajmuję miejsce na trawie.

- Chciałaś mnie widzieć Wielka Matko...

- Córko Feniksa... Przed tobą trudne zadanie...

- Wiem, Matko.

- Och... Tak silna jest twa aura Pani Zrodzona w Krainie Ognistych Ptaków... - Jej głos łączy się z szumem liści. Oczy patrzą w dal, lecz nie widzą tak naprawdę nic. Twarz spoczywająca bez wyrazu wywołuje u mnie dreszcz, ale także i fascynację. - Twoja energia dała się odczuć jeszcze zanim przekroczyłaś te mury... Podaj mi... swą dłoń... dziecko... Widzę wiele... Zbyt wiele... Twa tęsknota do ziemi przodków jest tak wyraźna... Nie tam twe miejsce - przystaje na dłuższą chwilę.

Nagle ciągnie mą dłoń w swoją stronę, a twarz gwałtownie odwraca się. Czuję, jakby patrzyła mi prosto w oczy.

- W dniu Zaćmienia przyjdzie odpowiedź, szukaj na niebie, lecz nie oczami.

W lekkim szoku, staram się rozwiązać sens tych słów.

- Wybacz Matko, ale nie rozumiem...

Nagle drzwi otwierają się, a do środka wchodzi lord Corax. Wielka Matka natychmiast zabiera dłoń i pośpiesznie siada, wyraźnie podenerwowana.

- To dla mnie zaszczyt... - Chce się uklonić, jednak kobieta mu przeszkadza.

- Niech nie wchodzi! On nie może tu wejść, Córko Feniksa! On przynosi tylko cierpienie! Śmierć przychodzi przez czerwone oczy! - Patrzą na Corax'a, jest zszokowany. - Niech nie wchodzi! Przy nim znajdziesz tylko śmierć.

Młody lord patrzy z niedowierzaniem, po czym odwraca się i opuszcza pomieszczenie. Ja przez chwilę waham się, jednak będąc równie zszokowana ruszam za nim.

- Strzeż się, Córko Feniksa! - Słyszę za plecami. - Strzeż się tego, co chodzi po ziemi, a powinno latać. Strzeż! - Krzyczy, zanim wrota się zamykają.

Korytarze mienią się wszystkimi kolorami, lecz szybko zostawiam je za sobą. Wielka, mająca już kilka wieków brama także znajduje się już w oddali. Biegnę przez ogród, prosto pod samo Wielkie Drzewo. Lord Corax stoi tuż obok dotykając palcami twardej kory. Podchodzę na tyle blisko, by zauważył moją obecność.

- Ja... Nie wiem, co mam powiedzieć, po prostu...

- Ty nie musisz nic mówić. Wszystko zostało już powiedziane. Zarówno ty, jak i Wielka Matka, nienawidzicie mnie, więc nie mamy, o czym mówić. Uważam jej słowa za oficjalne zerwanie obowiązującej nas umowy.

- O czym ty mówisz?! Nikt poza nami nie może tego zrobić.

- No tak, zapomniałbym. Przecież ty nie liczysz się z niczym zdaniem, Aintres.

- Więc, w czym problem? Nie interesuje mnie, co masz do powiedzenia w tej sprawie, a ja nie chcę, byś przerywał naszą wspólną podróż, - waham się - Cor.

Odwrócił się usłyszawszy swoje imię w tej formie z moich ust z równie zaskoczonym wyrazem, co ja słysząc swoje.

- A więc pójdę do gniazd i jak najszybciej wyślę harpią pocztową wiadomość do mojego przyjaciela. Otóż jest jeden problem z dostaniem się do zamku, jednak już wiem, jak go rozwiązać.

.....
Pogrążona w rozmyślaniu nad słowami Wielkiej Matki, brnę przez leśne podszycie. Usiłuję uspokoić oddech i dygocące od długiego biegu mięśnie nóg. Pościg był męczący, na szczęście wracam do obozu zwycięsko trzymając w ręku dorodnego zająca.

Na pieńku, tuż obok skwierczącego ogniska, zasiada lord Corax ostrzący swoje dwa miecze hartowane ogniem z Ignis. Nie wyglądał, jakby zauważył moją obecność.

- Coraz więcej spraw nie daje mi w nocy spać - zaczął, nie podnosząc wzroku znad połyskliwej stali. - Ci ludzie... w królewskich barwach. Nie mogę zrozumieć, czemu król Regem miałyby wysłać cały garnizon przeciw dwóm, valatiliańskim dziewczynom - wzdycha. Odkłada miecze i ukrywa twarz w dłoniach. - I to, co usłyszałem w Zakonie...

- Tym nie musisz się zamartwiać. Nie warto wierzyć ludziom, mówiącym o przyszłości. Zwykle takie przepowiednie nie są obiektywne.

- Aintres, to słowa Wielkiej Matki. Nic to dla ciebie nie znaczy?

- Właśnie. To słowa. Tylko słowa, a przyszłość zawsze można zmienić. Wszystko zależy od naszych decyzji. Może Wielka Matka chciała nas po prostu ostrzec.

- Łatwo ci mówić. Nie tobie przepowiedziała śmierć.

- Wcale nie przepowiedziała ci śmierci!

- „Śmierć przychodzi przez czerwone oczy.” Brzmi znajomo, nieprawdaż?

- Nie było tam żadnego słowa o tobie - upieram się, obserwując gorzki wyraz na jego twarzy. - Wymieniła tylko objaw choroby, która właśnie kończy się śmiercią.

- Właśnie. Wypowiedziała to pomiędzy zdaniem dotyczącymi mnie.

- Przesadzasz.

Cor chce zaprotestować, jednak przeszkadza mu słyszalny odgłos biegnącego cztero-kopytnego zwierzęcia. Spoglądamy na siebie porozumiewawczo i chwytamy za swoją broń. Hałas nagle zanika, a wokół, zdaje się, panuje zupełna cisza. Nasłuchuję każdego, najmniejszego szelestu. Po krótkiej chwili, jeden z krzaków porusza się, wyzwając natychmiastowo moją reakcję.

- Hola! - Ciemnowłosy chłopak wychodzi spośród zarośli. Celuję prosto pomiędzy jego oczy. - Panie, nie wspomniałeś, że posiadasz taką eskortę.

Zdezorientowana nie opuszczam broni.

- Spokojnie, Aintres. To po niego posłałem.

- To jest twój „znajomy”, którego chcesz przemyścić do zamku? - Brązowooki przybysz przeszywa mnie wzrokiem. - To by wyjaśniało, dlaczego chciałeś, bym dostarczył jak najmniejszy rozmiar szaty i zachował pełną dyskrecję.

Cor wzruszył ramionami.

- Kłopoty po drodze?

- Nie, choć w wioskach aż wrze od pogłosek o tej chorobie. Ludzie nie wiedzą, co robić. Większość chce się wynieść, a król z miłości do nich zamyka granicę... Właściwie nie tylko on. Niby izolują chorych najlepiej jak mogą, ale zawsze będzie jakiś wyciek. Każdy woli, by to nie wyszło poza obręb państwa. - Opiera się o jedno z drzew, znów wracając do spoglądania na mnie. - Skąd pochodzisz, pani?

- Z Valatili.

- Naprawdę? Tego chyba najmniej bym się spodziewał. Nie wyglądasz jak...

- Nie mamy czasu na rozmowy - przerywa mu młody lord. - Porozmawiasz z Aintres w drodze do zamku. Mogę dostać to, co miałeś przywieźć?

- Oczywiście, pozwól mi tylko, panie, dokonać prezentacji, a wówczas będę do twojej dyspozycji. - Cor kiwa głową na znak przyzwolenia - Jestem Devotio rodu Serves. Służę pomocą i przyjaźnią obecnemu tu lordowi. I skoro on twierdzi, że nie należy dłużej zwlekać, to tak też uczynię. - Wkłada do ust dwa palce, tak, by po lesie rozniósł się gwizd.

Niemal natychmiast krzaki zostają stratowane, przez dużych rozmiarów gryfa. Zwierze to piękna i dostojna bestia, jednak zastanawiający jest brak u niej skrzydeł. Nie wiadomo dlaczego, nagle stanęła dęba i zaczęło szaleć. Na moje nieszczęście stoję prosto na drodze gryfa. Jednym ruchem przewraca mnie na ziemię i dziobem wymierza cios. W ostatnim momencie staje przede mną Devotio i udaje mu się uspokoić bestię. Nadal przerażona nie mogę wykonać ruchu.

- Proszę o wybaczenie! Nigdy tak się nie zachowuje, nie wiem, co się stało... Mam nadzieję, że nie zrobił ci krzywdy, pani. - Chłopak patrzy na mnie, wyraźnie zaniepokojony.

- Nie... Dlaczego ten gryf nie ma skrzydeł? - rzucam.

- Naprawdę rzadkością jest posiadanie gryfa. Tego znalazłem w lesie. Jest taki od urodzenia. Najpewniej zostawiła go matka, wiedząc, że nie przeżyje.

Chłopak podaje mi rękę i pomaga wstać. Kątem oka dostrzegam zupełnie bladego Cor'a.

- Jesteś pewna, że przesadzam? - Przełyka ślinę. - „Strzeż się tego, co powinno latać, a chodzi po ziemi.” Tylko słowa, prawda?

Natychmiastowo odwraca się i znika w lesie.

- Dokąd idzie? O co mu chodzi lordowi Corax'owi? - Dopytuje Devotio.

- Musi coś przemyśleć. I ja... ja zresztą też.

.....

Ostłaniam rękami twarz, by gałęzie o nią nie uderzały. Las ciągnie się dalej, kalecząc moje ciało. W końcu drzewa rozstępują się, a ja znajduję postać Cor'a na tle jeziora. Ze znajdujących się przy nim skał tryska woda, niczym wodospad.

- Zwiążmy kolejną umowę - proponuję.

W odpowiedzi uzyskuję tylko milczenie.

- Przez pewien czas będę skazana na samotne podróżowanie... - Obserwuję jak młody lord kuca i przemywa twarz wodą, pozostając odwrócony. - Towarzysz mi w poszukiwaniu leku, a kiedy już zachoruję... - Karcę się w myślach za te słowa. - A jeśli słowa Wielkiej Matki okażą się prawdą i zachorujesz, to będziesz pierwszą osobą, jakiej zostanie on podany.

- Naprawdę nic nie rozumiesz, głupia dziewczyno? - Momentalnie się odwraca. - Co ty sobie myślisz? Że zwiedzisz Region Pięciu Wież, poznasz wielu miłych ludzi, którzy zawsze z chęcią ci pomogą, a do tego uratujesz Damnaret? Bardzo się mylisz. W tej chwili podpisujesz na siebie wyrok śmierci. Jak nie choroba, to co innego cię dopadnie. Król Regem nie chce cię widzieć, a ty umawiasz się z jednym z jego najbardziej zaufanych ludzi i chcesz, by zaprowadził cię prosto w paszczę lwa?

Przez chwilę, gdy przerywa, a jego słowa wciąż odbijają się echem w mojej głowie, nie mogę wykrztusić z siebie ani słowa. Gdy dochodzę do siebie, znowu zaczyna.

- Czego się spodziewałaś? Że przyjmie cię jak najlepszego gościa? Przecież zaledwie dwa tygodnie temu nasłał na ciebie zabójców. Gdybyś zjawiała się na zamku, nie zdążyłby na ciebie spojrzeć, a już leżałabyś martwa. Dlatego wymyśliłem ten podstęp. I gdyby nie ja, to...

Wchodzi mu w słowo, bo nie mogę wysłuchiwać dłużej tych oskarżeń.

- Wiesz, w ogóle, do kogo mówisz?! - Wykrzykuję - Jestem Aintres z rodu Confortare, najstarszego klanu na ziemiach Valatili, który od wieków włada jej ziemią. Już niedługo zostaną uznana pełnoprawnym mieszkańcem zachodu, zaraz po wykonaniu zadania, które sama postawiłam sobie za cel, to, które nazwałam wyrokiem śmierci. Jest nim odkrycie leku na rozprzestrzeniającą się chorobę na ziemiach Damnaret'u i nie znajdę spokoju, póki go nie wykonam. Jestem ostatnim pokoleniem pijącym łzy feniksa, a zatem najlepszą kandydatką na wykonanie takiego rodzaju misji. Jak pewnie wiesz, gdy jako dziecko wypija się flakonik wcześniej omawianych łez, jest się odpornym na wszelkiego rodzaju choroby. Żądasz dodatkowych wyjaśnień?

Gdy skończyłam między nami zapanowała głucha cisza. Nie wiem, które z nas patrzyło na to drugie z większym zdziwieniem na dźwięk tych słów. Twarz Corax'a była blada, nawet jaśniejsza od samych włosów.

- Powiedz coś, bo wyglądasz gorzej niż Iverdin po przejściu huraganu. Martwię się i zastanawiam, czy mam powtórzyć wszystko jeszcze raz, czy od razu rozpocząć przeprowadzanie reanimacji - niemal wyszeptalam.

Wyraz twarzy Cor'a zmienił się, a sam lord nieoczekiwanie uśmiecha się.

- Nie Aintres, nie żądam dodatkowych wyjaśnień. Chciałbym czegoś innego.

- Co takie... - usiłuję zapytać, marszcząc czoło.

Raptem odległość między nami zmniejsza się, a pytanie zostaje przerwane, w momencie, gdy łapie dłońmi moją twarz i przyciąga do swojej.

Doznaję prawdziwego szoku. Lord Corax całuje mnie, a ja nie mam nic przeciwko.

Otwieram oczy, jednak dopiero, gdy przestaje odczuwać jego dotyk. On uczynił to wcześniej i teraz wpatruje się we mnie w dotąd nieznaną mi sposób. Czuję rumieńce na swoich policzkach. Próbuję je ukryć, jednak jest już za późno.

Pośród szumu wody słychać także śmiech niebieskookiego lorda.

Przez jego reakcję, czuję się jeszcze bardziej zawstydzona. Chcę to opanować, a gdy to nie wychodzi uderzam Cor'a w ramię.

- Będziesz tak stał i się głupio cieszył, czy w końcu wyjawisz mi swój plan? - Po tym zdaniu Corax poważnieje, jednak nadal męczy mnie swoim przenikliwym spojrzeniem.

Właśnie przymierzam brunatną szatę przywiezioną dla mnie specjalnie przez Devotio'a. Na prawej stronie - tej od serca - podziwiać mogę gryfa, szykującego się do lotu. Ubranie jest bardzo podobne do szaty, jaką właśnie ma na sobie lord Corax, jednak już na pierwszy rzut oka widać, kto jest wyżej postawiony. Chociażby spoglądając na inkale i wykończenia, ręcznie naszyte złotą nicią.

Spoglądam niechętnie na zbyt długie rękawy. Mimo, iż Devotio dostarczył najmniejszy rozmiar, jaki noszą wojownicy w służbie u lorda Damnaret'u, nadal nie był odpowiedni. W sumie nie jest to bardzo istotne, ale może znacznie utrudnić ruchy.

- Ładnie ci w szacie lordowskiego sługi, Aintres.

- Nie przyzwyczajaj się - rzucam, odwzajemniając uśmiech.

Ostatecznie Cor zaakceptował drugą umowę, a także wyraził chęć na kontynuowanie tego planu, który polegał na wprowadzeniu mnie w szacie jego służącego tak, by nikt mnie nie poznał. Później nastąpiłoby poproszenie o audiencję, której zapewne nie odmówią osobie tak zasłużonej. Tylko, że do sali tronowej nie wszedłby sam. Przez niewiedzę dotyczącą reakcji króla na mój widok, gdy już się ujawnię, nie ustaliliśmy, co będzie dalej. Chcę tylko pomówić na temat rozprzestrzeniającej się choroby i poprosić o istotne informacje, po czym odejdę, nawet, jeśli takowej pomocy nie otrzymam. Denerwuję się przed spotkaniem. Cor zapewnił mnie, że po drodze wymyśli plan awaryjny oraz, że zna ukryte przejścia wyprowadzające z pałacu w przypadku niepożądanych wypadków.

- Gotowa?

- Chyba tak.

Podchodzę niepewnie do wyznaczonego mi konia. Devotio zapewnił mnie, że zadba o nią jak najlepiej potrafi.

- Denerwujesz się? - Pyta zatroskany, podchodząc bliżej.

Spoglądam na niego, a moje oczy odpowiada na jego pytanie.

- Spokojnie. Naprawdę nie ma, czego. Będzie dobrze, bo szczęście nam sprzyja.

- Żeby tak było, potrzebujesz czegoś z Valatili - przypominam sobie. Szybko sięgam pod ubranie i wyciągam obiecany łańcuszek - Trzymaj, bo później zapomnę.

- Nie dałbym ci zapomnieć. - Uśmiecha się. - Tylko, że... Ja już go nie potrzebuje.

- Jesteś pewien? - Pytam z niedowierzaniem.

- Słyszałem waszą rozmowę, twoją i Eaklis na temat tej rzeczy. Wiem, że jest dla ciebie ważna, więc zatrzymaj ją.

- A nasza umowa?

- Nadal aktualna.

- Nie rozumiem... - gubię się - Twój przesąd...

- Mówi, że muszę mieć jeszcze coś z Valatili. A teraz... - Czuję jego palce na swojej dłoni. - Teraz mam ciebie.